

bo jeden gwóźdź wypadł ze ściany — lustro było pęknięte, na podłodze śmieci, na suficie pajęczyny...

Powietrze było duszne. Miało ten przykry, niezdrowy zaduch, właściwy mieszkaniom, niestaranie sprzątanym i źle przewietrzanym.

Marcysia zносиła do przedpokoju walizy, mruczając coś niechętnie pod nosem. Nie wyglądała wcale na zadowoloną.

Kornelia spostrzegła to natychmiast.

— Pierwsza istota, dla której przybycie moje jest zbyt duże i niepożądane — pomyślała.

— Tatusi, tatusi przyjechał! — zadzwoniły nagle radośnie dwa dźwięczne głosy dziecinne.

Na twarz Rogoziewicza padł nagle jakby promień słońca.

— Jestem dzieciaki! — zawołał — Chodź do dzieci! Chodźmy...

— Zaraz... tylko wyjmę podarunki.

— Co tam podarunki! Naprzód je zobacz, pociechy moje i one niech poznają swoją mamę!...

Pierwszy wbiegł niemal do oświetlonego pokoju, za nim, nieśmiało trochę, z bijącym sercem wsunęła się Kornelia.

— Jak się macie, dzieciarnia?! A dlaczego bębny nie śpią, co?

— Tatusi... tatusi! A co nam tatusi przywiózł?!

— Cio nam tatusi psiwióz?

— Przywiózłem wam coś najlepszego dzieci!...

Przywiózłem wam mamę... Widzicie, to jest wasza nowa mama!... Będziecie ją kochać, prawda?

Z uśmiechem wskazywał na Kornelię, która w porywie szczerzego uczucia przygarbiona do siebie najstarszą dziewczynkę i gorąco ją ucałowała.

Dzieci, pomimo zaniebania w ubraniu, wydały się jej prześliczne, zachwycające, daleko ładniejsze, niż na fotografii.

Serdecznie zapragnęła, aby ją pokochały.

— Chciecie, żebym była waszą mamą? Będę was kochała bardzo, bardzo...

Ale Stefcia energicznie i szybko uwolniła się z jej objęć i usunęła się pod ścianę.

Delikatna, nad wiek poważna twarzyczka przybrała jakiś zagadkowy, nieprzenikniony wyraz. — Tylko w głębiach ciemnych, żywych i inteligentną tryskających źrenic zamigotały jakieś niedobre ogniki, jakby szyderskie, czy wrogie.

Kiedy Kornelia schyliła się, aby wziąć w ramiona śliczne, jasnowłose, różowe bobo — dziecko uderzyło nagle w gwałtowny płacz.

Drobnymi rączkami uchwyciło się kurczowo nogi ojca i wrzeszczało co sił:

— Nie cie, nie cie! Zosia się boi... To nie mama, to bzidka pani!...

Starszy od niej o rok braciszek, także piastki do oczu przyłożył, płaczem głośnym wybuchnął i zaczął wołać, tupiąc nóżkami:

— To nie nasza mama! Mama była, jak aniołek na obrazku! To brzydka pani! Ja nie chcę takiej mamy!...

Stefcia nie odzywała się wcale. Stała tylko wciąż pod ścianą, jak mały sfinks i spoglądała na matkę zimnym, odpychającym wzrokiem.

Rogoziewicz zmieszał się, nie wiedział, co począć, co powiedzieć.

Bezradnie spojrział na Kornelię, która nagle cofnęła się o kilka kroków i wsparła się ręką na poręcz krzesła.

Była bardzo blada. Usiłowała uśmiechnąć się, przemówić coś, obrócić to wszystko w żart, ale czuła, że, zamiast uśmiechać się, krzywi się tylko, a słowo żadne nie chce przejść przez gardło.

Nie chcą jej! Nie chcą te słodkie dzieci takiej brzydkiej mamy!...

Znowu zbyt uczucie i odepchnięta!...

Nie mogła zapanować nad sobą. Gorzkie, palące łzy wytrysły jej z pod powiek.

Rogoziewicz szybko odsunął dzieci, podszedł do żony i serdecznym ruchem ujął jej rękę.

— Nie płacz! Nie zniechęcaj się i nie trać do nich serca! Wszak to dzieci... małe dzieci! Kochaj je, bądź dla nich dobrą, a, wierząc mi, i one cię pokochają!...

K O N I E C

Konrad Henryczewski

Staszek Roj

Nowela

Pani Wandzie J... poświęca
Autor.

Nad Tatrąmi panowała cisza potężna, uroczą, poetyczną.

I nie słychać było ni gwizdu szalonego świstaków, ni szumu skrzydeł przelatującego orła czy jastrzębia, ni pluskania pstrągów w Kościeliskiej do linie.

A śpiący rycerze podniebni czuwali, podobni do prawdziwych, groźni, poważni. Zdaleka tylko słychać było szelest spadającego strumyka, lub huk potężnej Siklawy, czy Siklawicy — mruczały, niby ten niedźwiedź, ukrywający się w nieprzepartych regłach podhalańskich, niby ten ryś, dziko skaczący po ostrych konarach.

A tylko ponad lodowymi stokami gór wyl wicher skalny, głoszący potęgą zaklętą mocy, głoszący piękno i dzikość podniebnych turni i wyśpiewując im hymn pochwalny pod niebios błękitne lazury.

A wtedy, w takiej chwili, wyszło z powagą kroczące — słońce, jak matka, która swem tchnieniem utrzymuje przy życiu swe dzieci — wielkie promieniste słońce.

Krwawo zabłysło najpierw na sinych graniach, przebiło mgły, okalające nagie szczyty i ozłociło wierzchołki gibkich sosen i smreków rozłożystych.

I otrząsnęły się z nocnego snu igielki zielone drzew i wyciągnęły się na boki, rozkoszując się płem matki — słońca i pochyliły się w ukłonie, pełnym czci dla tej, co im pomaga do życia na tej cudnej, szerokiej ziemi. I wszędzie ozwało się życie.

Na halach ukazały się wypędzone barany i czarnymi swymi i białymi kudłami ubarwili jednostajną zielen dalekich pastwisk. Równocześnie ozwał się ryk bydląt i białe żółte, białe-czarne, grube plamy zmieszały się z poprzednimi.

Krajobraz odżył, oddychał pełną piersią.

Juhasi rozeszli się za bydłem po skałach, a dziewczki ulotniły się w lasach za jagodami. Na halach ostali się jeno bacowie, którzy obsiedli wokół dymiącej, smrodliwej watre i grzali przy niej skostniałe od nocnego zimna członki. I radzili, jakby też to najdrożej sprzedać serki owcze wędzone i mleko.

Z jednego szalas, stojącego na uboczu, wyszedł młody juhas. Zwał się Staszek Roj.

Piękny był, że aż luna odeń biła. Gdzie rzucił wzrokiem, drżało wszystko przed nim. Dziewki lgnęły do niego, jak niedźwiedź do miodu i — był kochany.

Pochodził ze Zakopanego, ze Skibówek.

Nie „płony” to był gazda, a jeno z miłości ku Tatrom szedł w lecie „ku halom”. W domu, gdyby ostał, miałby co jeść, bo zamożny był.

Ale jego tu ciągnęła namiętna, nieprzeparta miłość gór.

Na nic się nie zdały dziewczkom wdzięczenia, na nic chichoty, bo on żadnej nie kochał, on kochał tylko — Tatry.

Czasem, gdy poszedł w poniedziałek w góry, wracał w niedzielę. A gdy go pytali gazdowie:

— Kaześ chadzał Stasku?

Mówił im:

— Byłem w gościnie u mej baby.

— A wtorek to? — pytali.

— Ady hańta, pożyjcie. — wskazywał długi łuk śnieżnych Tatr.

— Kosyste?

— Haj, ze ba jakoz?

I kiwali głowami i dawali mu pokój, bo, gdyby mu „weszli na honor”, jak mówił, byłby ich „ciupazkom porombał, co hej!”

I mówili między sobą:

— Ot, Stasek waryok.

I przylgnęło to słowo do niego i nie opuściło go już nigdy.

Gdy była zima, a śnieg gęsto okrył Podhale, siadywał na ławie i pykał z fajki i śmiał się do Tatr i kiwał im głową.

W Zakopanem czuł się nie swój, dopiero, kiedy w Tatrach był — odżywał.

Skakał z turni na turnię, jak kozica i pogwizdywał i pokrzykiwał. A napotkał gdzie jaką polankę, zaraz palił ognisko „piukł grule i jod som, somiutki, somiuteninki”.

I dobrze mu z tem było.

A, gdy sobie podjadł, tańczył po zbójnicku, z siekierką w ręce:

„Hej, idem w las — piórko się mi migocę!

Hej, idem w las — dudni ziemia, kie kroczę!

Ka wywinem ciupazeckom — krew czerwona wytocę!

Ka obyrtneć sikireckom — krew mi z pod nóg bulgocę!”

U, ha! U, ha!

A tysiączne echo odpowiedziało mu: U, ha! U, ha!

Tak rozmawiał z Tatrąmi.

I znał je na wylot.

Bywało, że czasem przewieźdźdźali „panowie” nad „Morskie” i chcieli iść na Rysy.

I pytali o przewodnika. Tedy im mówili gazdowie:

— Niwtory was poprowadzi, ino Stasek Roj!

I szli z nim, a on im mówił o tych Tatrach, które tak całą duszą, całym swym ludzkim sercem ukochał, o tych wodnych bogach, o rusałkach leśnych, co to „bez mgły beskurcy tak rzna, co raty!”

Ale nie tylko Tatry on kochał, lecz także całą tatrzańską, boską naturę.

„Ozniósł-byk tyk psiajuchów, co to bez te wyciecki, kie łazić nie umiejom, dla ścizek lasy wyrumbujom!”

Był do nich ślepo przywiązany, jak „oreł do swego gniazda, jak świstak do swego wirchu”.

I tak mu szło życie.

Do kościoła nie „chadzał” nigdy, „bo coż mi tam Pon Bóg? Bogiem mi moje skalicki, kościołem stawiecki” — mawiał.

A rękę miał wprawna, jak nikt na Podhalu. „Kie wantom prason, to sze wyrknenno, a, kie jom wyczucił z popod Cornego psy Morskim, to aze popod Siklawę wyrznena, aze rombno!”

A i na gęślickach dziewczkom grywał, jako nikt po nim już, a przed nim tylko Maciek Sieczka tak grywał.

I cóż im on mógł grać? On, nieuczony, niewyćwiczony muzyk natury?

Ano grał im swe życie.

Grał im, jako się drapał na turnie, na skały i wyręby po różne ziela dla Maruszyny znachorki z Kościelisk, grał im, jako wyje wichor halny, jako świszczą świstaki, a mruczą niedźwiedzie. Wygrywał naturę Tatr.

I w grze jego słyszeli olśnieni słuchacze huk spadającej Siklawy, sunących po brzegach przepaści odłamów skalnych, plusk jezior i stawów i szum smreków i gwizd i pioruny burz górskich i ćwierkanie drożdów i wróbli i kawek.

Wygrywał wszystko, co tylko słyszał, co go otaczało w Tatrach.

I tak wiódł życie Staszek Roj, muzyk, taternik.

Lecz przyszedł kres.

Przyszła wojna, a z nią kres tego życia w Tatrach.

Musiał iść walczyć, bo mu tak kazano. On bić się nie chciał, on nie uznawał celu tej walki, lecz się i jej nie bał. Wiedział, że i tak umrze, bo każdy człowiek umrzeć musi — więc czegoż się miał bać?

„Wzieni mnie, to wzieni, to se poległem i co to?” Słuzować niwtory nie bendzie po mnie, a i ja się obendem”.

Ale to mu się tylko tak mówiło. Poledz „pewnikiem” by poległ, bo „han sytką zemrom”, ale odezwiała się w nim góralska natura.

I cóż?

Pójdzie tam, będzie walczył, lecz za co? Za swe Tatry? Nie. Wcale nie.

Z musu.

I poczęło walczyć to uczucie w nim, które się zwie miłością ku rodzinnym halom, ku rodzinnym lasom, które go wydały, które go wyżywiły i przy życiu utrzymywały swem tchnieniem.

Nie chciał iść — i „nie trwoga nim władała, lecz miłość” — szeptało na usprawiedliwienie sumienia.

Wojna była dla niego niczem — Tatry wszystkim, one jedynym skarbem na świecie, one mu zastępowały ojca, matkę, żonę, dzieci, gdyby je stracił, straciłby wszystko. Pozostawało mu jedno wybawienie — śmierć. Ona mogła mu tylko ukrócić jego cierpienia, jego ból po utracie ukochanej ojczyzny, śmierć mogła uwolnić go od wypełnienia surowego musu.

I zapragnął umrzeć, bo już miał dość tego tułania się po świecie.

A skoro wyszedł teraz z szopy juhasów, to wyszedł z zamiarem odebrania sobie życia i... był gotów na śmierć.

Oczyma żegnał Tatry swe, a serce biło mu niby młotem i łyzy płynęły do oczu, łyzy bólu, żalu, tęsknoty.

I jak stał z rozwianym włosiem, z ciupazką w lewej, a gęślickami w prawej ręce, rzucił się w góry.

I wiatr mu uniósł czapeczkę z piórkiem pawiem,